

# Marzec w samo południe

Maciej Rosalak

Zegar na Bibliotece UW wskazywał godzinę 12.13, gdy przez bramę od Krakowskiego Przedmieścia wjechało na dziedziniec uniwersytetu siedem autokarów z napisem „wycieczka”. Wyszło z nich ponad trzystu „pasażerów”. Byli to ormowcy (Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej), zwani później w mediach i na masówkach „aktywem robotniczym”.

**N**ajpierw namawiali studentów do rozejścia się. Potem zaczęli popychać. Posypały się na nich piguły śnieżne. Wszystko to wyglądało i dramatycznie, i komicznie, a działo się jakby w zwolnionym tempie. Czy tak rodzi się historia? – dziwili się studenci historii. Przepychanki stawały się brutalne. Jeden kopnął, drugi wałnął pałką wyciągniętą z rękawa, a trzeci złapał dziewczynę za włosy. Przewróciła się, no to ją pociągnął po śnieżnej brei, brudząc jej kożuch... Ormowców stopniowo ogarniał szal. Do mnie i przyjaciela podbiegł kwadratowy osobnik. Zatrzymał się na chwilę, popatrzył. Miałem włosy jasne, przyjaciel – ciemne. W ślepiach błysnęło coś na kształt myśli i... kopnął przyjaciela. Przypadek? Tę scenę najwyraźniej pamiętam z 8 marca 1968 roku.

S  
i  
Ó  
D  
M  
Y  
  
K  
R  
Z  
Y  
Ż  
Y  
K

Zepchnięta na tyły BUW młodzież znalazła się przed Pałacem Kazimierzowskim, szukając wsparcia u rektora. Na balkonie ukazał się nie on, ale znakomity historyk Stanisław Herbst. W todzie, z łańcuchem rektorskim na piersi, wzywał do zachowania spokoju. I wszystko bez większych dramatów rozeszłoby się wraz z ludźmi, gdyby nagle nie wtargnęło ZOMO (utworzone przez Władysława Gomułkę Zmotoryzowane Odwoły Mili-cji Obywatelskiej – najtrwalsze jego dokonanie w Październiku '56) w bojowym rynsztunku, i nie przeprowadziło regularnego bicia kogo popadnie, z profesorami włącznie, wbiegając na teren poszczególnych wydziałów. To nie od kilkusetosobowego z początku wiecu, ale od pałowania i kłamstwa o nim zaczął się masowy protest studencki, zwany później Marcem '68.

Zobaczyliśmy po raz pierwszy prawdziwe oblicze tzw. władzy ludowej. Nie do końca wierzyliśmy rodzicom, którzy całe zamieszanie traktowali jako rezultat rozgrywek wewnątrz władzy komunistycznej. – Przecież to jedna banda! – mówili. Dopiero po latach w pełni zrozumiałem ojca, który przeżył wojnę, okupację niemiecką i sowiecką, terror epoki Bieruta i oszustwo Gomułki. Ale nasze roczniki dopiero w Marcu '68 po raz pierwszy w życiu przyglądały się dziejowym wypadkom...

Następnego dnia (sobota, 9 marca) tylko krótka notka schowana na dalekiej stronie „Sztandaru Młodych” odniosła się do wydarzeń. Zrobiono z nas „wichry-cieli”. Usłyszałem: Prasa kłamie! Rzesze rozgoryczonych studentów ruszyły na wiec solidarnościowy pod Politechnikę (jak 11 lat wcześniej protestujący przeciw rozwiązaniu „Po Prostu”). Potem wielotysięczny pochód z biało-czerwonym sztandarem ruszył w kierunku pobliskiego akademika „Riwiera”. Z boku stały stalowosine szeregi ZOMO, a ich dowódca wzywał przez megafon do rozejścia się. Aż dostał w głowę brukowcem lub cegłą. Bo oto, nie wiadomo skąd, nie wiadomo kto, obrzucił milicjantów kamiennym gradem. I tak po raz pierwszy w życiu zobaczyłem prowokację.

Zomowcy tylko na to czekali. Zaczęły wybuchać granaty z gazem łzawiącym, a szeregi chłopców z Gołędzinowa ruszyły z pałami. – Czer-wo-ne ges-ta-po! – skandowali studenci.

I bardzo szybko pochód młodych, zdeterminowanych ludzi zamienił się w opanowany paniką tłum. Na próżno jakiś dojrzały mężczyzna z otwartymi szeroko ramionami



Fot. AJPN

► Dziedziniec Uniwersytetu Warszawskiego, wiec przed budynkiem BUW, 8 marca 1968 roku

► Gaz łzawiący na schodach kościoła Świętego Krzyża, w którym schronili się manifestanci

Fot. AIPN

głośno krzyczał, usiłując zatrzymać uciekających. To był żywioł nie do powstrzymania; pojedynczy człowiek pozostawał całkowicie bezradny. Tak to chyba wygląda podczas fali tsunami. Od tamtej pory – kiedy tylko mogę – unikam tłumu. Wtedy pomyślałem, że drapieżniki gonią tylko tego, kto ucieka, wziąłem pod ręce koleżanki Halinkę i Marysię, i stanąłem z nimi pod sklepem mięsnym wśród gapiów (dziś biegnie tędy Trasa Łazienkowska), beczelnie udając jednego z nich. Rumiana sprzedawczyni o potężnym zadzie przyglądała się podejrzliwie naszej trójce i gromko pouczała zebranych: – Krzyczą „gestapo”, studenci! zafajdane! Okupacji nie widzieli! W głowie im się p....! Ale nie wydała nas zomowcom, gdy przechodzili mimo, obrzucając stojących półprzypadkowym spojrzeniem przekrwionych oczu.

Z daleka widziałem kołyszącą się gwałtownie białą-czerwoną chorągiew, jakby dawała jakieś znaki; wreszcie zniknęła szczęśliwie w mrocznym wejściu do kina „Luna”. A to Polska właśnie – myślałem uporczywie i z pewnym zdziwieniem. Chłopiec ze sztandarem, funkcjonariusz z pałką, tęga dama z mięsnego – to wszystko rodacy. W 1968 roku byłem zaskoczony. W latach 1970, 1976, 1981/1982 – już mniej.

Wzrokiem hien wpatrywali się w nas cuchnący wódką ormowcy, kiedy w poniedziałek 11 marca wychodziliśmy po zajęciach bocznym wyjściem z uniwersytetu. Upijano ich w pobliskim „Kuchciku”, następnie ustawiano w dwóch rzędach, między którymi przechodzili pojedynczo studenci. Gdy ktoś spojrzał na nich krzywo – bili pałkami w kark. Jak w carskim wojsku. Z tą różnicą, że bili także dziewczyny.

Z tego dnia doskonale pamiętam kościół Świętego Krzyża na Krakowskim Przedmieściu. W ciżbie szamocącej się na schodach widziałem wznoszące się i opadające z rozmachem pałki. I postać Chrystusa idącego na Golgotę w dymach gazu łzawiącego...

Przypomina się pogrom Żydów w Boże Narodzenie 1881 roku, który wywołał wielkie poruszenie w Warszawie. Eliza Orzeszkowa pisała w liście do T.T. Jeża o jakichś dziwnych, obcych osobnikach w „rubachach”, niemówiących po polsku, z zakazanymi gębami, którzy pojawili się w mieście przed katolickimi świętami. To oni spowodowali potworny ścisk i zamęt na schodach prowadzących właśnie do kościoła Świętego Krzyża, gdy wierni opuszczali świątynię po mszy. Wśród jęków tratowanych i bitych ludzi usłyszano okrzyki: – To Żydzi winni! Bij Żyda! W ciągu trzech dni zamieszek bito i zabijano. Rabowano i demolowano żydowskie sklepy i domy. Niektórzy przerażeni obywatele pochodzenia żydowskiego szukali ratunku w mieszkaniach polskich znajomych i przyjaciół. Z opisu wyraźnie wyziera przerażenie i oburzenie, że prowokacja trafiła na podatny grunt wśród warszawskiej ludności. Obcy szczuł, ale Polak bił.

Dodam jeszcze, że w samo południe 8 marca akurat kończyliśmy zajęcia z filozofii, które prowadził Tadeusz Płużański. Nikt z nas – studentów historii! – nie wiedział wtedy o ranach, które odniósł on we Wrześniu, głodzie i katowaniu w Stutthofie, kurierskich misjach żołnierza AK i WiN od rtm. Witolda Pileckiego do gen. Władysława Andersa, makabrze śledztwa w UB, karze śmierci, na szczęście niewykonanej, wieloletnim więzieniu. Dopiero od niedawna zastanawia mnie, co w 1968 roku – dwadzieścia lat (aż? załedwie?) po pokazowym procesie – myślał ów filozof, patrząc przez okno na dziedziniec uniwersytetu. I po tylu latach widzę coraz wyraźniej jego kamienną, przeciętą bliźną twarz. Jak punkt odniesienia. 🍷

Maciej Rosalak – redaktor w miesięczniku „Historia do Rzeczy”